

# Dodatek tygodniowy

przy Gazecie Lwowskiej.

N<sup>ro</sup>. 23.

Dnia 9. Czerwca 1855.

## Plantacye i ogrody lwowskie.

Dopiero za naszej pamięci zaczął Lwów przybierać ozdób, jakich mu stręczyć mogła powabna okolica i rozniecone zamiętowanie w pięknościach natury. Zaczęto stawiać okazalsze domy, i jeżeli z architekturą niezbyt wymyślną, zawsze przecież z największym staraniem, ażeby dóm miał położenie przyjemne, ożywione widokiem rozleglejszym, ile możliwości na ogrody i laski wznoszące się na pochyłościach gór, które Lwów otaczają.

Budowniczy doborem struktury odpowiedniej dopełnia upodobania i woli mieszkańca lwowskiego, który zawsze kochał się w drzewach, ogrodach i sadach. Świadczą o tem nawet zapisy w kronikach, gdy donoszą, że domy i place oznaczano i rozpoznawano po drzewach przed niemi rosnących; i sami dziś jeszcze przekonać się możemy, przeszedłszy odleglejsze za miastem ulice, gdzie się zachowały stare domki i ludzie starego obyczaju. Nigdy się dawny mieszkaniec Lwowa nie wysuwał z domkiem do samej ulicy, zasłaniał się od niej parkanem lub sztachetami, w głębi dziedzińca stawiał dopiero dworek, a przed okna zasadzał kwiaty i drzewka które mu latem chłódek i wonie niosły, od prochu i kurzu strzegły, a zimową porą od zamieci śnieżnej zachowywały.

Przechowały się takie dworki jeszcze na ustroniu po wszystkich przedmieściach, widywać je na Łyczakowskim, Zielonem, Stryjskim, Janowskim, Żółkiewskim; ale po innych ku miastu zbliżonych ulicach, już ogródki poschodziły, dawne dworki wysunęły się kamienicami pod sznur do nlicy, i niktby teraz nie poznał tego oblicza w Chorążczyźnie, w Sykstusce nawet w Jezuickiej ulicy, jakie zapamiętał o nich przed trzydziestu laty.

Zdawałoby się, że to wyplenienie ogródków z przed okien pochodzi ze zniechęcenia lub z obrzydzenia do pięknej natury; ale jako żywo przyczyna w tem, że czasy nastąpiły inne. Dzisiejsze potrzeby osobiste, względy społeczne, i stosunki krajowe wcale są inne niż dawniej bywały, i te zagnęły mieszkańca zwrócić się twarzą do publiczności.

Bo-to przedtem Lwów nie był miastem tylko między murami; tu było bezpieczeństwo, była zasłona od napaści; ludność trzydziści i więcej tysięczna cisnęła się między wały i fosy, by na warownej acz szczupłej przestrzeni się osadowić, i chciwie się miejsca trzymała, bo ją przynęcał ożywiony i zyskowny handel z całym wschodem, a swobody królewskie zasłaniały ją od krzywd i swawoli. Kwitnący obrót kupiecki zagnęwał wysuwać sklepy, składy, gospody i bazyry na jawniejszy widok, i domy musiały stawać twarzą do ulicy, ażeby i swemu powołaniu odpowiedzieć i powszechnej potrzebie dogodzić. Nie mogły zatem w samym mieście wystawać ogródki przed czoło domu, chowały się jeżeli gdzie miejsca stało w dziedzińcu, jak to widywaliśmy jeszcze przed kilkunastu laty w dolniejszych ku wałom ulicach, a na niższej ormiańskiej ulicy jeszcze widzimy.

Przedmieścia zaś w owym czasie stały otworem, przystępne na zagony nieprzyjaciolowi, który je pustoszył i palił, były wystawione na zbytki i bezprawia hultajskiej czeladzi, jak pod ówczas proletariat nazywano. Zasłanianie się przed jej rozpustą oplótami około dworku, parkan stawał za twierdzę, bo dworek otwarty byłby się przed hultajstwem nie ostał, zwłaszcza, iż go stawiano zawsze z obawą, że stać się może pastwą pożogi w czasie napadów nieprzyjacielskich. Dla tego odsuwano pomieszkawie od pomieszkawia, oddalano się jak było można od sąsiada, co chociaż pod porę bywa bardzo dogodnym, jednak w chwili gwałtu pozbawia spieszego ratunku, a złoczyńcom wolne pole zostawia.

Kto w owych czasach na przedmieściu mieszkał, ten siedział zupełnie jak na wsi, wiejskie też musiał prowadzić życie i z sielskich przyjemności korzystać; więc z upodobania sadził drzewa i kwiaty, z potrzeby bawił się w ogrodnika, wypladzał drób i bydelko pielegnował, zgoła musiał, ażeby zapobiedz niedostatkowi i zeskarbić dochodek jakowys, takie prowadzić gospodarstwo, jakie się jeszcze do teraz w zamiejskich dworkach na Nowym-Świecie,

na Bajce, na Rurach i po kończynach wszystkich przedmieść, dawnym obyczajem utrzymuje.

W późniejszych latach, gdy pod ochroną praw i rządów skutecznych, obawy zgasły, a posiadanie własności zostało bezpieczne złodziejskiej ręki, zaczęło się miasto, niegdyś trwogą skupione, teraz rozsuwać ku przedmieściom, bo swoboda zawsze ludzi rozsuwa. Zaczęły się mnożyć rzemiosła i rękodzieła, ludność powiększać, familie seiskane w mieście jeły się przenosić i budować na przedmieściach, gdzie komu najdogodniej się wydawało.

Zyją jeszcze, co pamiętają jak się zabudowała sykstuska i jezuicka ulica, jak powstała z ogrodu ulica majerowska, frenelowska, jak się przecistoczyły lub przetworzyły ulice mikołajska, piekarska, plac drzewny, plac franciszkański i t. p.

Niktą konieczność zasłaniania się od ulic parkanami, bo czujny nadzor straży i praw powaga strzegły dobytku ludzi, mieszkaniec wypleniał ogródki i sady, a w zamian budował kamienice, wznosił domy mieszkalne, stawiał warsztaty, zaprowadzał zakłady przynoszące mu za wonie z kwiatów w odwet dostatek, wygody i przyszłość potulną.

Przedmieścia prawda, zaczęły przybierać kształty miasta, ale za to traciły wdzięk wiejski, pełzły uroki sielskie, za niemi znikała świeżość powietrza, niebo gnuśniało, Pełtew płynąca samopad rozblęcała wybrzeża, zagnieżdzać się poczęły słabości z dusznych wyziewów po warsztatach i komnatach pozbawionych roślinności przed oknami, która jak wiadomo tem żyje, co ludzi dusi, z powietrza to chwytła, tem się karmi, co dla człowieka trucizną. Więc urastała konieczna potrzeba ogrodów publicznych, gdzieby mieszkaniec po pracach dziennych znękanym w zatęchłych sklepach, warsztatach, biurach, mógł z rana, abo przynajmniej pod wieczór z dziećmi i rodziną odpocząć swobodnie, i czystem, zdrowem odetchnąć powietrzem.

Kto z zamożnych dochował ogrodu, sam z niego korzystał, i nie miał powodu, i nikt go przemusić nie śmiał, ażeby swej własności ustępował na posługę publiczną, lub ażeby swoje obejście starannie utrzymywane otwierał dla pospólstwa, które jak doświadczenie nauczyło miary w ocenie dobrodziejstwa niezna, a nie zbyt oględne, mało szanuje to, co go pracy nie kosztowało. Ale rząd troskliwy, wchodząc w istotną potrzebę krzewiącej się ludności, gorliwy o pomyślność i dobry byt mieszkańca, sam na siebie przyjął opiekę miasta, i zajął się opatrzeniem miejsc stosownych na przechadzkę, na zabawę dla ludu, chcąc tem przyczynić się do utrzymania stanu zdrowia, w mieszkańcu rozniecić pogodną myśl, a oraz przechować w nim to zamiętowanie do sielskiej prostoty, z której Lwów od dawna słynął i potąd zachować pragnął.

Już wiele lat przedtem, opieka wiekopomnej pamięci cesarza Józefa II przewidując przyszłość wznoszącego się miasta, przygotowała środek, gdy opatrzyła mieszkańca Lwowa godnym cesarskiej ręki upominkiem, i poświęciła ludności lwowskiej ogród, który niegdyś Jezuiści z całą wytwornością owczesnego wieku założyli, i w guście włoskim przyozdobić starali się aleami pod sznur, szpalerami, labiryntami dobrze zacięzionymi, zupełnie jak we Włoszech, gdzie skwar słońca tak dokuczliwy. Dar miłościwego pana wymagał tylko skrzętnego pielegnowania, ażeby stać się ulubionym miejscem schadzki publicznych. Dar cesarski sięgał przyszłości potrzeb, pod ową porę mieszkaniec nie cenit go tyle, gdyż jeszcze rosły mu wówczas pod oknami i w dziedzińcu krzewy i drzewa, gdzie się w dnie powszednie familie a we święta i sąsiedzi zbierali.

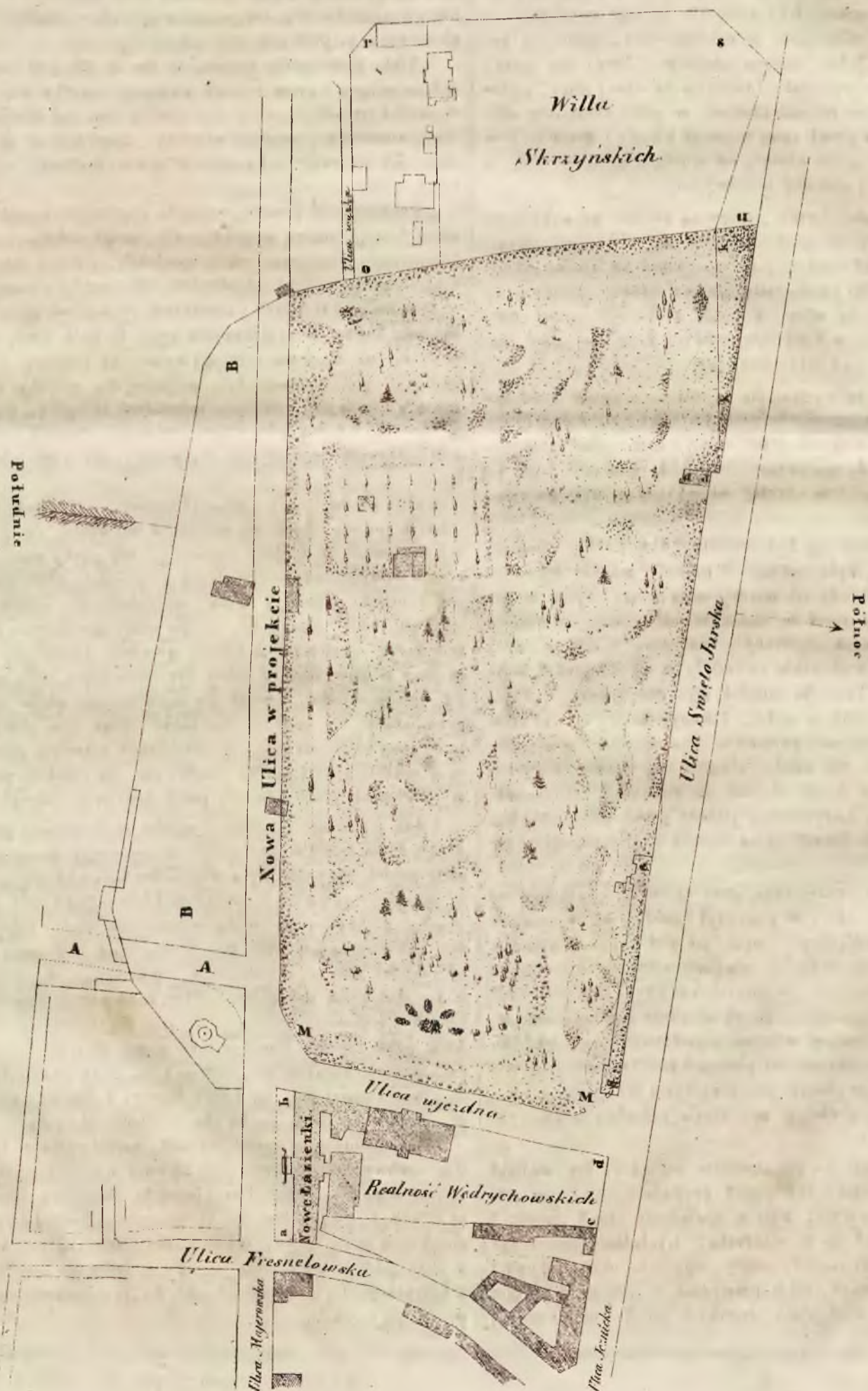
Zaniedbany więc ogród zdziczał, zarósł gęstwiną lasu, z powietrza nachwytał więcej jadu niż zdrowej woni wydawał. To spowodowało rząd puścić ogród w wieczystą dzierżawę, i za małą kwotę (3410 zlr.) sprzedano go na dzierżawne dziedzictwo (w r. 1799) niejakiemu panu Hecht, przedsiębiorczemu traktyerowi miejskiemu, z obowiązkiem utrzymania ogrodu z doborem takich porządków, z którychby dla publiczności nie tylko przyjemność ale i prawdziwa przysługa urastała.

Powstały wtedy łaźienki, powstały altany, domki gościnne, dóm okazały o salach bawialnych i pokojach mieszkalnych, amfiteatr, karusel na sadzawce, powstały przestrzaly cięte przez gęstwiny, chodniki pomiędzy szpalerami. Wszystko to jednalo upodobanie, i publiczność chętna nowości, zbierała się licznie, póki nie doświadczyła, że ogród wtedy tylko dobrodziejstwem u nas, gdy nie okrada słońca, gdy drzewo obok chłodu obściela się zielonością, gdy ma miejsca otwarte, przystępne słonecznym promieniom. A tu przestrzeń z trzydziestu tysięcy sążni kwadratowych stała w wiecznym zaciemieniu, trawa wymarła, co krzewy nie wydusiły, to zle-

wne potoki od góry magdaleńskiej zliwały z korzeniem, wody bez odpływu osiadły na dolnej płaszczyźnie, potworzyły moczyste trzęsawiska, zatopiły i zgnoiły karusel, zamiast trawnika pozostały chwast i osoka. Było tak w r. 1813.

Oczewiście ze niepodobna było nikomu korzystać z ogrodu utrzymanego na ten sposób jak potąd. Musieli więc spadkobiercy Hechta wypłenić gęstwiny leśną, cieniste szpalery przerzedzać, i sadzawkę z karuselem zasypywać, chcąc ogród przystępniejszym przynajmniej do łaźienek uczynić. Czyniono też co można; — środkową aleję piaskiem wysypali. Ogród osuszyć się nie chciał, a tymcza-

## PLAN Ogrodu Jezuickiego.



sem ludność się pomazała, z przedmieść sielskich porobiły się przedmieścia miejskie, mieszkaniom wzdychał do zieloności, pragnął świeższego powietrza, i wykradał się w dalekie zamiejskie osady, na Pohulanę, na Kortomówkę, do Wody żelaznej, do Lonszana i t. p. gdzie zamozni lub przemysłni właściciele niegdyś piękne wile pozakładali i dla publiczności nie bronili wstępu. Lecz jak wszystko, tak i tu z odmianą właściciela wszystko popustoszało, poniszczono lub poprzeistoczało się w zakłady inne, a mieszkaniom Lwowa coraz więcej ścieśniany już nie wiedział, gdzie trawki i słonecznego promienia uprosić.

Jeszcze stały od strony zachodniej miasta wały podparte wierzby nad Pełtwą; zamykały się od krakowskiego w zabłocką kuznię, od halickiego wduszały się w domek Lorenców, a przed jezuickim kościołem gdzie przerywała ulica, obsadzone były budami. To jeszcze bywało jedyne miejsce do wieczornych przechadzek; zstępem z nich nie było chyba w przepaść błotnistą i w trzęsawiska, a rozciągłości miały może na dziesięć minut wolnego kroku. Innych spacerów nie było, bo od wschodniej strony za Bosacką bramą przestrzeń poznoszonych wałów sterczała namiotem śmiecia, rumowiska, pełna dziur i przepaści; a w wyższej części od góry zamkowej spad wody powyparał jary, przystępne tylko bydłociu, które się tu pasażo i parzyło do słońca.

Temu może nikt wierzyć dziś nie zechce, a przecież tak było, tak stało jeszcze w latach 1813 i 1814. Ze oka to nie raziło, bo oswojone zobojętniało; człowiek tego nie widzi, z czem urósł. Dopiero o tym czasie zaczęła się ta okolica oglądać; dom Ryszczewski odnawiał się pod nowym właścicielem, Kraterowska kamienica wyprzedzała, powstała ulica pańska, a na uczczenie przybycia Jego Mości cesarza Franciszka I. w r. 1816 splantowano i wyrównano obok niej ten plac, który dziś przyozdabia gmach Namiestnictwa. Wystąpiła przestrzeń dosyć rozległa, ludzie poczuli dobrodziejstwo wolnego tuż pod miastem powietrza, a rząd dogadzając potrzebie nakazał plantacje w około, i postanowił zniesienie wałów od krakowskiego.

Zajął się miasto plantacjami gorliwie; do lat kilku (1821 — 1825) zasunęły się padoły koło Benedyctynek, powysadzały się skarpy smugami w drzewa, powstał ozdobny pas ulic sielskich od Bernardynów po sam wysoki zamek, w krótko t. j. 1837 i samego zamku ujęto część jedną w ramę, mianowicie tę, co siała prochem i piaskiem na miasto w czasie pogody, a w słotę staczała wody i namuł na Sieniawszczyznę, na Żółkiewskie i na Krakowskie. Odsłonił się widok z góry, jakiego w świecie szukać, a odnoże zasłane krzewami bujnie do słońca porosło. Piękność miejsca wabić zaczęła, ludzie jak muchy zaczęli zalatywać, wkrótce i osiedlać się w tej stronie zapragli. Korzystali z otwartych placów; pobudowały się piękne domy w około, zatkała Weterańska jaskinia, wykroiliła się targowica drzewna, z obu stron wyciągnęła się dostatnia ulica łącząca Krakowskie dwoma ramionami z czwartą dzielnicą miasta; i niższa ormieńska ulica odetchnęła, bo otrzymała przejazd u góry zasklepiony wprzód spadzistym wertepem, i także do plantacji przytknęła. Zgoła do lat niespełna dziesięciu, ludzie oblegli całą plantację. Utworzyła się jeszcze ulica wałowa.

Lecz ile przez to otwarcie miejsca ulice i domy uzyskiwały, tyle zato plantacje traciły, zacieśniały się domami, zwężyły i pokrajały w poły ulicami pobocznymi i poprzecznymi; przytem dla samej bujności gruntu zdusiły się rozrostem drzew i krzaków, rozweselają tylko w miejscu otwartym, gdzie się na przestronniejszej równinie rozlegają. Utworzone na samą przechadzkę, dobrodziejstwem są swoim sąsiadom, bo świeżego powietrza donoszą, z odleglejszych stron miasta nikt do nich dla odpoczynku nie zachodzi, bo nie to było ich przeznaczenie. A tej niedogodności uległy i zachodnie plantacje wałów, (rozpoczęte 1826), tylko że położone w ludniejszej stronie miasta, że leżą na płaszczyźnie, są otwartzsze, i mają w sąsiedztwie hotele, teatr, gmachy rządowe i prywatne, że się stykają z placami Ferdynanda, ś. Ducha, starym Franciszkańskim, z Krakowskim, więc są więcej uczęszczane, bardziej ożywione.

Z tem wszystkim są to zakłady bardzo zbawienne, użyczają swobodnej przechadzki, tu można wolniejszem odetchnąć powietrzem, to tylko mają do siebie, że nie są ogrodem, w znaczeniu jakim go ludzie pragną, miejscem rozrywki, igraszki, swobody i odpoczynku. Matka z drobną dziatwą na te zakłady nie wyjdzie, nianka niema gdzie się rozłożyć, dziecię niema gdzie popląsć, pobiegać, wypocząć. Są to długie do spacerów sadzone ulice, a dzieci spacerów nie lubią, dla nich świat gdzie się bawią, krzątają, gdzie się wyskaczają, wybiegają. Dla tego i na wysoki zamek nikt dzieci nie wyprowadza, za wysoko i niema gdzie usiąść dziecięciu. Na wyso-

kim zamku dzieci niema, a gdzie dzieci nie chodzą tam starzy nie żyją. Co gospodyni, co dziecku, jeśli na płaszczyźnie szesnaście wiosek naliczy? Po geografę na górę ani matrona, ani dziecię nie łążą.

Więc gwałtem potrzeba było swobodniejszego miejsca, potrzeba była ogrodu, jakim go dusza pragnęła, miejsca gdzieby i łączka była i jakiś kwiatek nie wymyślny, niewinny, który-by choć ukradkiem zerwany nieszkodził nikomu, gdzieby drzewo rosło a pod nim murawa była, i nie grzechem byłoby na niej usiąść, gdzieby niance wolno kobierczyk rozścielić, gdzieby cień był pod drzewem, ale ten cień żywy co za zegarem idzie, który się posuwa za słońcem, na te miejsca co już ogrzane i osuszone, bo taki jeden tylko cień nieszkodliwy. Cień, lecz nie ta piwnica między drzewami, w którą się promyk słońca nie zacisnął od wiosny, kiedy liść wystrzelił, do późnej jesieni aż opadł. W takim zamrocznym cieniu nawet trawa wymiera, mucha usnie, a chciano ażeby dziecię, ta muszka delikatna, ta najczulsza roslinka, zdrowe w tym cieniu bujało. Dziwowano się że matki z dziećmi nie oswajają się z plantacjami, że wysokiego zamku nie lubią, że uciekają z ogrodu jezuickiego; mamki, nianki i matki chemii organicznej nie znają, ale by i Libicha nauczyły, że ogród naizony drzewami i krzakami, które słońce nie podlewa promieniem z pod spodu, może dobry dla sarn i kóz, ale nie dla ludzkiego stworzenia.

Nie takiego ogrodu publiczność lwowska pragnęła, nie taki ogród myślał cesarz Józef, kiedy go w upominek troskliwości swojej o zdrowie mieszkańca Lwowa ofiarował. Ależ kiedy nie było komu radzić. Przedsiębiorcy, myśleli, że ogród dla publiczności musi być taki, jakim się świeci po kąpielach za granicą: ogród wyrachowany na przywary, na słabości moralne, na ułomności człowieka, a które u cudzoziemców niezmiernie popłacają. Uradzili zatem i tu to samo; więc sadzić aleje przezwane „spacer pański“ niby szkołę wykwinu i zalotów, więc zawijać manowce wszeteczne, więc otwierać wyszynki, więc muzyki, więc gzy, więc spektakle zaprowadzać... Pokazało się że to wszystko dobre na czas dla pospólstwa, w krótko i dla nich spowszedniało, a uczciwszym obrzydło. Musiał się ogród zabrudzić, w łazienkach nawet, chociaż woda u źródła czysta jak łąza, nie obmył się człowiek, owszem pokalał.

Właściciele tracąc na przedsiębiorstwie, szukali wreszcie już tylko sposobu jakby się pozbyć swej włości, i dopraszali się u władzy miejskiej zdjęcia z nich ciężaru utrzymywania ogrodu dla publiczności.

Zaczęli z miastem wchodzić w układy jeszcze w r. 1839; lecz się stręczyły trudności nie do zwalzenia prawie. Chodziło oprócz rozwiązania różnych względów prawnych o tę część ogrodu, gdzie były składy drzewa z lasów rządowych, jeszcze i o to jaki wynaleść prawny środek wywłaszczenia, czy w sposób sekwestru, czy w sposób wykupna, czy w sposób dobrowolnej ugody, a w każdym razie obmyśleć słuszny wymiar ceny wynagrodzenia, by nie było z krzywdą dla właścicieli, a dla nabywcy ażeby pozostawała nadzieja powetowania strat za wyłożoną splatę.

Do roku 1847 przeszedł ogród przedaży na ręce innych właścicieli, a jeszcze nie było porozumienia. Nowy posiadacz nowe w r. 1847 obmyślił sposoby w układach, a w r. 1852 jeszcze inne zaprojektował, i trudno było przewidzieć końca w przeprowadzeniu procesu. A tymczasem ogród ciągle podupadał, łaska Józefa cesarza marniała, ogród ludzi nie spraszał ale wypłaszał.

Mimo tego widocznego zniszczenia, ostatnimi czasy nawet rozmyślnego poniekąd pustoszenia ogrodu, nigdy publiczność nie była więcej jak teraz pewniejszą, że ta sprawa rozwiązać się musi niezwłocznie. Miała otuchę w obecnych rządach zostających przy władzy naczelnika kraju, którego silna ręka tyle innych instytucji zagrożonych upadkiem z toni wydzwigując, zatracone fundacje powskrzeszać, a nowe zakłady dobroczynne postwarzać umiała. Ręczyły za pewność upiększenia dokonane pod protektoratem woli jego nie tylko na instytucjach dawniejszych, ale i to, że każdy nowy zakład utworzony za tchnieniem jego, musiał się cieszyć i przyozdabiać ogródkiem.

I rzeczywiście też odtąd zakłady publiczne zaczynają przybierać wdzięku nie tylko dla tych komu służą, ale i dla obojętniejszych mieszkańców, którzy koło nich przechodzą, albo czasami zwiedzają. — Uniwersytet ożył w cudnie założonym ogrodzie botanicznym z szkółką pomologiczną. Instytut głucho-niemych opasał się słicznym ogródkiem, i od ulicy wznosi na podwyższeniu okrąg z żelaznych sztachet na sposób holenderski. Sąsiedzki zakład ślepych, jeśli nie może kalek swoich bawić wdziękami kwiatów, otrzymał ogródek, który świeżością powietrza, wonią roślin i cieniem drzewek rozweselić może i kalectwo pojednać z dobrodziejstwem przy-

rody. Zakład sierot domek swój świezo nabyty przystraja w drzewka i rośliny. Ochronkom małych dzieci i niemowląt wyprzedza opatrzna ręka przyległy ogródek w domku, luboć potąd tylko dziecizawą trzymany. Zakład Ossolinskich pokrzepiony po długim i ciężkim przesileniu swoim, zascieła plac swój i górę w piękne i ozdobne krzewy, rośliny i kwiaty; a owe plantacye dawniejsze od strony północnej miasta, które swawola niedorostków i pustota zuchwale psuła, ujęte pod nadzór surowy, bogacą widoki i spaceru coraz szerszym zakrojem w około góry zamkowej.

Przy tak opatrznyemu czuwaniu nad dobrem i wygodą publiczną, nie mógł i ogród jezuicki ująć snadnie opieki protektora jedynego zakładów stolicy. Co kilkunasto-letnie spory i rozprawy prawne wygładzić nie zdołały, to wyjednała w polubownej ugodzie wola p. Namiestnika w najkrótszym czasie, z taką obostronnie korzyścią i dogodnością, że ministerium za przyzwoleniem Jego cesarskiej ap. Mości na rozejm podpisało.

Stosownie do tej ugody otrzymują, jak mówiliśmy (Ob. N. 19. Dod.) właściciele dawniejsi Wędrychowscy część *a b c d* wschodnią o 2803 sąż. kw. (ob. plan) przyległą do domów sąsiednich, z prawem nowych łazienek *n—n* w rogu ku ulicom frenelowskiej i majerowskiej; całą zaś dalszą przestrzeń, tak właściwy ogród, jak i dawniejsza sporna część *B B*, używana na składy drzewa, jarmark na wełnę, wystawę przemysłową, przeszła na własność miasta, z obowiązkiem przysposobienia i utrzymania ogrodu dla publiczności.

Chodziło teraz o stworzenie planu w jaki sposób urządzić ogród, ażeby stał się dogodnym, nie wyłącznie dla towarzystwa wymyślniejszego, ani dla samej niższej czeladki; lecz dogodny obywatelstwu miejskiemu, rodzinom z rodziną, dzieciom równie jak starcom, wesołej drużynie niemniej i ludziom pracą znękany; — ogród z przeznaczeniem nie na samą przechadzkę, ani na gospodę gościnną, bo śniadania, podwieczorków, napojów, spektakłów, muzyki i skoczków nie każdy jest żądny — to dogadza tylko pod porę, kiedy się zachciwa; ale ogrodu każdy pragnie, za świeżością powietrza niema chwili, ażeby człowiek nie tęsknił.

Były też rozmaite plany, jeden wystawniejszy nad drugi z samych wysadków, krzyżowych ulic, zarośli. Na sesji d. 12. kwietnia r. b. Rada wydziału miejskiego, zwazywszy że zasklepieniem ulic od wpływu promienia słonecznego, ogród pod strefą naszą butwieje i rozgnaja się, przytem w słusznej obawie, ażeby nasadki rozkrzewione nie dodusiły ze szczerem roślinności, przyjęła plan botanicznego ogrodnika p. Bauera, którego umiejętne ręką założyć umiała ogród botaniczny przy uniwersytecie tutejszym, tak że w krótkim przeciągu czasu, bo lat trzech nie spełna, stanął ogród w głównych zarzysach zupełny, odpowiadający nie tylko potrzebom naukowym, ale tym całym wdziękiem ujmujący, jakiego i powab okolicy i domyślne życzenia wszystkich, co się w ogrodach kochają, wymagały i nastroczały.

Ogród ten przy kościele ś. Mikołaja, miał wielkiego miłośnika w proboszczu tamtejszym dziesiątek lat temu, utrzymywał się prywatnym nakładem jego, łącząc jak bywa w rękę gospodarskim „*utile dulci*“ kwiatki, drzewa, krzewy i rośliny egzotyczne z warzywem. Za utworzeniem w tem miejscu kolegiaty jezuickiej podupadł, drzewa w znaczniejszej części poniszczaly, szczepy pozniakały, późniejszy szpital dwuletni doprawił reszty; została przestrzeń naga o kilku starych drzewach wiekiem i pamiątką historyczną jeszcze z tureckich czy szwedzkich wojen, szanowną ale już gasnącą. Teraz pod rządą sprawą biegłego mistrza spoglądają te drzewa na kobierzec kwiatów i krzewów rozlanych na łące u wniścia do ogrodu, przed niemi na pochyłościach wzgórz roztacza się łąka do ściany uniwersytetu a twarzą do czytelnicy w bibliotece, przeznaczony na florę galicyjską, wyłącznie pod sprawą samego profesora historii naturalnej i botaniki przy uniwersytecie; dalej w górzystym zacięciu tulić się ma Flora karpacka; jedna i druga tylko przyrzeczonej rosady oczekują. Od nich nawrotem ku drzewom rozlega się zasad roślin lekarskich w tylu i tylu set gatunkach, do słońca cały, ale urządzony tak, że uczniowie i nauczyciele mogą jeżeli chcą sami zostawać w cieniu. Położenie całe ogrodu jest górzyste, na oko strome, ale zręcznie ujęte w łuki, sprawia, że co było wadą teraz przyczynia rozległości, i ogród wydaje się większym niż jest w istocie. Jeden z łuków prowadzi do sadzawki tworzącej się na podniesieniu, która będzie napawać rosady; po łące rzucone osobliwsze drzewa ujmują widokiem, a tak są umieszczone, że oko przed i za niemi dostrzela najodleglejszych i najpiękniejszych okolic Lwowa. Jeszcze szczupłość miejsca nie dozwalała rozwinąć ogrodnikowi całej swej sztuki, ani uzupełnić istotniejszego życzenia Naczelnika rządów krajowych, przyłączono więc place i ogród nabyty w sąsiedztwie na

założenie cieplarni i budynków ogrodniczych, na zaprowadzenie szkoły pomologicznej i rozplód drzew owocowych; co ażeby dla kraju z prawdziwym zostało dobrodziejstwem, otwarte zostały z dawnych fundacyi cztery stypendya, które pod prezydencją JE. pana Namiestnika, Stany krajowe udzielać będą uczniom poświęcającym się nauce pomologii i ogrodnictwa. Stanął już w tem miejscu budynek, gdzie ci czterej stypendyści otrzymują oraz i pomieszkowanie, przy szkółce, a dokończenie całości zakładu idzie z pośpiechem.

Była więc za przyjęciem planu p. Bauera piękna rękojmia, a nadto świadczyły o zdolnościach jego i inne plany dokonywane około dawniejszych zakładów publicznych, których nadzór mu rząd i miasto, przekonani z tego co przy uniwersytecie utworzył, powierzyli. Pod jego kierunkiem powstał z dziedzińca ogród u głucho-niemych, polecony mu w myśli, ażeby uczniom w tym Zakładzie następczy sposobów korzystania z nauki ogrodnictwa. Po jego planie występuje ogród w około gmachu Ossolińskich, i podniesie okazało się tego Zakładu o wiele bardzo za zniesieniem kaplicy błahoczystej, której utrzymanie więcej Zakładu kosztuje niż korzyści przynosi. W plantacyach na wysokim zamku pod jego zarządem przebijają się nowe widoki, góra zręcznym ułożeniem drózek straciła nużącą wysokość swoją, a wytknięta droga obwodem obsieciała pas, który w piękne drzewa owijać będzie cały ten odwieczny posąg pamięci wieków upłynionych.

Plan powzięty odłączając najprzód realność Wędrychowskich z nowymi łazienkami (*n—n*) ulicą, wjeżdżną na prawo od ulic jezuickiej i święto-jurskiej, na lewo zaś od majerowskiej, frenelowskiej, później i od ossolińskiej z seminarzycką (*A—A*), które się mają połączyć z ulicą w projekcie od majerowskiej wprost do ś. Magdaleny. Jeżeliby w górze przy ś. Magdalenie zachodzić miały z właścicielem jakowe trudności o odstąpienie kawałka gruntu na przejazd, pozostawi miasto zaszczyt przysługi dla publiczności późniejszym posiadaczom, a szlak zaprojektowanej ulicy zawróci w wyjazd wąską ulicą i zawsze połączy ogród z Nowym-Swiatem i placem ś. Jurskim, z kąd będzie górne wniście do ogrodu. Boczne wniścia, oprócz przy dworku (*d—d*) od ulicy ś. Jurskiej oznaczy dopiero później istotna potrzeba; zaś przy ulicy wjeżdżnej, wchód otwierac mają dwie bramy (*M—M*) połączone z opasem szlachet żelaznych, które z czasem pójdą w okół całego ogrodu, jeżeli się co dogodniejszego na ogrodzenie nie obmyśli. Czas na to jest jeszcze, gdyż stare łazienki (*s—s*) nim zostaną zniesione, osłaniają ogród w dolnej stronie, w górnej zaś wbiega klinem (*k—k*) do ulicy ś. Jurskiej część ogrodu do Willi Skrzyńskich (*orsu*) należąca, która tymczasowo nim miasto zamian użyska, ochraniać tu będzie zakład publiczny.

Rozkład ogrodu widać na planie, wykreślony obłog ulic i ścieżek uwidomia łąki, trawniki i rozposażenie drzew i krzaków w ogólniejszym tylko zarysie, oznacza miejsca zgiełkliwsze przy domkach uczonek, ale nie oddaje drobniejszych szczegółów, nie wymienia szronek przed niepogodą, rozprowadzenia wód nie oznacza, które dopiero po skutecznym podniesieniu gruntu i zniwelowaniu dadzą się dokładnie omierzyć i ustalić. Rozwód ulic i ścieżek zależy nie tyle od woli, jak raczej polegać musiał na owej konieczności, kiedy się ze starego coś nowego przerabia, ażeby nie niszczyć co było dobrem, a zpożytkować to co mniej do użytku służyło; odpaść musi to co zadziaczało ogród, i to coby za podniesieniem poziomu na stóp kilka samo od siebie później uszło. Tak przynajmniej radzi rozsądek i doświadczenie, — i słuchać nie godzi się żalów ubolewaczy nad wycięciem, chociażby i całych stosów drzewa, kiedy ich żale ogrodu nie osuszają, ani ich miłośnictwo do rostej sochy zdziaczałości nie zazęgnają.

Część ogrodu (*B B*) gdzie był skład drzewa z lasów rządowych, nie jest objęta planem; zachodzą jeszcze jakieś zadawnione układy; lecz już zgłaszają się miłośnicy, którzyby radzi rozkupić te grunta i zabudować. Gdyby się na to zgodzono, tedy upiększona w tem miejscu dzielnica miasta przydałaby nowej przyjemności, patrząc z ogrodu na front okazałych domów, a tuszmy — jeżeli wolno przymówić — z piękną architekturą. Dla miasta zaś możeby to i było z korzyścią uzyskać z przedaży stały fundusz na opędzenie rocznych wydatków przy utrzymaniu zakładów, które pewnie do kilku tysięcy wynoszą, a w końcu przecie o mieszkańca samego oprócz się muszą.

Lecz nie o projektach tu mowa; — dzięki owszem że się nam Lwów z pod gnuśnej kory wymładza, że się plantacye rozszerzają, zakłady zdobią, że się ogród publiczny wydobywać zaczął z mielizny i ze zgniętej zaduchy otręsa, co więcej: że rozpoczęte prace postępują a do rozpoczętych przybywają nowe takie, które pozostaną może najpiękniejszą zaletą sercu. Chodzi tu o urządzenie cmentarzy.

Przybytki wiecznego spoczynku mało nadzoru miały; poprzestawali ludzie na tem, by były gdzieś na ustroniu, radzi gdy miazma szkodliwa nie zalatywała na miasto. Dla tego zamknięto cmentarzyk przy szpitalu sióstr Miłosierdzia, gdy się zamek wysoki ogościł, czeka także przeniesienia swego i cmentarz żółkiewski, gdyż za rozkrzewieniem ludności znalazł się w środku przedmieścia obudowany domami.

Pewnie zachowanie ciała przy zdrowiu jest zasługą wielką, ale i zachowanie uczuć i wspomnień drogich sercu w zdrowej pamięci jest jeszcze większa, a popiołom przodków niesiona cześć i chwala niech się przelewa także na tego, kto nakazał i postawił, by nasze cmentarze odnowić, by zaprowadzić według planu pewny porządek, powdzielać dzielnice, posadzać drzewami i umiać żałośnie wspomnienia pogodną świeżością wiosny i gaju. I tu prace rozpoczęte, do dwóch lat, da Bóg, będą skończone.